

przesłódki, litosne oczy Najświętszej Matki, trzymającej na ręku Dzieciatko, uśmiechają się do niej.

— Cud! Cud! — szepcze.

Anielka osuwa się na kolana.

Wargi jej nie poruszają się słowami modlitwy, ale modli się jej ufna dusza w cichej pokorze i szczęściu bezmiernem.

## ROZDZIAŁ XXI.

— Więc pani mnie stanowczo nie chce? — pytał Koncewicz, postępując obok Anielki na ulicy.

Panna roześmiała się tak serdecznie, że z za różowych warg błysnęły jej białe równe zęby.

— Stanowczo i nieodwołalnie!

— To tak niby pani mi daje „kosza“?

— „Kosza“, „harbuza“ czy jak się to panu podoba nazwać.

— To ja się będę musiał z tem pogodzić...

— Nic innego nie pozostaje panu do zrobienia, ale niech mi pan jednak powie, skąd panu przyszło do głowy oświadczać mi się tak ni stąd ni zowąd na ulicy, bez fraka, bez bukietu i innych akcesoriów oświadczynowych? — pytała Anielka, rozbawiona temi niespodziewanymi oświadczynami.

Koncewicz spojrzał na nią zakłopotany, przyczem minę miał jeszcze głupszą, niż zwykle.

Nie wiedział, co miał odpowiedzieć. Wysiłać się na jakieś kłamstwa, zapewnienia miłości, to było zbyt wiele dla jego leniwego umysłu.

Wahał się jednak, czy powiedzieć prawdę.

W istocie rzecz tak się miała, że tato-starosta przynaglał go do tych oświadczyn, bo synek przez cały czas pobytu w Pradze wyciągał od niego a conto swoich konkurencyj i posagu przyszłej żony większe sumy pieniędzy, które topniały w knajpach praskich i w rękach rozmaitych Mařenek, Maruszek, Ruženek.

Koncewicz przewidywał, że Anielka nie odda mu swojej ręki i w gruncie rzeczy nie zależało mu na tem, bo nie kochał się w niej wcale pomimo jej urody.

Uważał, że jest nudna, kapryśna, wymagająca, „przemądra“, jak ją nazywał przed kolegami.

Nieraz myślał o tem, jakby to dobrze było, gdyby Mařenka z „Cernego Pivovaru“ miała posag panny Zurakowskiej.

Oświadczyc się jednak musiał, bo ojciec wymagał tego koniecznie. Właśnie wczoraj otrzymał list, w którym pan starosta wyrażał swoje zdziwienie, że dotychczas nie jest jeszcze po słowie z panną Anielką.

„Mielicie już przecież czas — pisał — dostatecznie poznać się... Sądzę, że zdołałeś pozyskać sobie przychyłność pani Wolskiej i jej siostrzenicy, a co do ciebie, to chyba dłużej namyślać się nie potrzebujesz... Któżby się namyślał długo, czy oświadczyc się pannie bogatej, dobrze urodzonej i ładnej w dodatku...

Oświadcz się więc jak najprędzej, abyście do Galicyi powrócili już jako narzeczeni...

Oczekuję decydującej odpowiedzi, w przeciwnym razie nie poślę ci ani grosza...

Cóż więc było robić? Młodzieniec postanowił oświadczyc się pannie Zurakowskiej, aby wykazać ojcu, że zrobił „swoje“. Jeżeli dostanie „kosza“, ha! trudno — to się już wielu innym zdarzyło!

Przypadek mu posłużył: spotkał Anielkę na ulicy. Nie zastanawiając się długo, bez wszelkich wstępów i przygotowań „wyrwał“ swoje oświadczenia.

W odpowiedzi usłyszał, czego się zresztą spodziewał, krótkie i stanowcze: „nie“.

Nie zmartwił się tem zbyt i odetchnął z ulgą, że nareszcie przebrnął przez te oświadczenia.

— Wie pani — odpowiedział wreszcie na pytanie Anielki — to jest tak, że mój tacio wbił sobie do głowy, żebym się ja koniecznie z panią ożenił...

— Aha! Rozumiem! — zaśmiała się Anielka — Ojciec kazał panu oświadczyc się, a pan jako dobry i posłuszny syn poddał się jego woli! Doskonale! Ogromnie dla mnie pochlebne i zachęcające! Ale taka szczerść to się panu chwali.

— E! Pani to się zawsze wyśmiewa ze mnie... Powiem prawdę, że z panią to nie wiedzieć jak mówić. Sam nie wiem, czy pani za mądra, czy ja za...

Chciał powiedzieć „za głupi“, ale się zatrzymał, nie dokończył, natomiast dodał:

— Przyznam się pani, że my to nie „pasowalibyśmy“ do siebie. Pani co innego lubi, a ja co innego...

— Nareszcie rozumne słowo!

— O! Czy to ja jedną rozumną rzecz mówiłem — bronił się młodzieniec — tylko pani słuchać tego nie chciała. Zawsze pani była taka poważna,

że strach. Teraz to pani jakoś zmieniła się, weselsza, różowa i taka ładna, że aż żal trochę bierze...

— Oho! Pan Koncewicz zaczyna komplementy mówić! — przerwała mu Anielka — Wie pan co, pożegnajmy się, bo inaczej mógłby pan jeszcze na poczekaniu zakochać się we mnie i tragedia gotowa!

Koncewicz skwapliwie pożegnał się i pobiegł od razu na pocztę. Przez drogę układał sobie w myśli następujący telegram:

„Oświadczyłem się, dostałem „kosza“, proszę o pieniądze, czy mam przyjechać

Witold“.

Anielka, uwolniwszy się od towarzystwa Koncewicza, przyspieszyła kroku, kierując się ku ulicy Szczepańskiej, gdzie mieszkały Staszynskie. Miał tam na nią oczekiwać Krzycki z wiadomością, kiedy będzie mogła zobaczyć się z Kazimierzem.

— Panno Anielo! panno Anielo! — posłyszala za sobą — Dokąd pani tak spieszy?

Odwrociła się niechętnie, poznała bowiem głos Zerwanówny.

Czarne oczy panny Stefcy tak żywo latały, usta uśmiechały się tak zachęcająco, że Anielka domyśliła się od razu, o co jej chodzi.

— Oho! Wysypie worek z plotkami! — pomyślała.

— Pani sama? — zapytała Zerwanówna, podkreślając głosem zdziwienie.

— Jak pani widzi. Cóż w tem dziwnego?

— Właściwie nic — odparła słodziutkim tonem — tylko że wszyscy przyzwyczaili się widywać panią z panem Montwilem.

— Bo ludzie prędko i łatwo się przyzwyczajają! — odpowiedziała Anielka — Istnieje zatem nadzieja, że z równą łatwością odzwyczaić się mogą. Pan Montwile nie jest moją guwernantką, aby miał strzedz każdego mojego kroku.

— Rozeszło się — błysnęła Zerwanównie myśl — ale kto zerwał, on, czy ona?

Postanowiła to wybać natychmiast.

— Wie pani, panno Anielko — zaczęła po chwili, jakby od niechcenia — że ja nawet dziwiłam się trochę tym względem pań dla tego pana Montwila... Bo właściwie niewiadomo, kto to jest...

— Owszem, najzupełniej wiadomo... Ciocia moja zna nawet kogoś z jego krewnych. Jeżeli pani ciekawa, to mogę panią poinformować, że pan Montwile jest synem bardzo zamożnej rodziny obywatelskiej z Lubelskiego, skończył wydział prawny. Jednym słowem, wymarzony kandydat na męża — mówiła Anielka, trochę ironicznie spojrzaniem mierząc swoją towarzyszkę.

— Nic więc dziwnego, że niektóre panny tak na niego polują — odcięła się Zerwanówna. — Ta Staszynska na przykład, która się trzepota, jak gdyby miała lat piętnaście, straciła zupełnie głowę.

Wzmianka o Stasi była dla Anielki wielce nie miła, to też przerwała stanowczym tonem:

— To już chyba wyłącznie jej sprawa! Co nam do tego!

— Oczywiście, oczywiście! — przyznała jeszcze słodszy głosem panna Zerwanówna. — Mnie też to nic a nic nie obchodzi. Ten Montwile to jednak ma zmienne gusta... Spotkałam go przed chwilą z doktorową Lezerową... Zdawał się nią być bardzo zajęty... Nie rozumiem doprawdy, co on w niej widzi... Kokietka, wymalowana, wyzywająco ubrana...

— Mnie się wydaje ona bardzo ładną i elegancką — odpowiedziała obojętnie Anielka.

Zerwanówna śledziła uważnie wrażenie swych słów na twarzy Anielki, ale twarz ta była tak spokojna, że doznała zawodu.

— Nie obeszło ją — pomyślała — to chyba ona zerwała...

Zaprześciła więc rozmowy o Montwile i podjęła inny temat.

— Jakże się miewa ciocia pani?

— Dziękuję pani, zupełnie dobrze.

— Czy ciągle równie gorliwie odwiedza szpitala?

— Tak jest.

— Szpital w Rudolfinum cieszy się jej specjalną opieką.

— Istotnie.

— Interesuje się bardzo jednym rannym oficerem.

— Skąd ona o tem wiedzieć może? — zdziwiła się w duchu Anielka. Nie zrozumiała ona, co właściwie chciała powiedzieć Zerwanówna, przeczuwając jednak jakąś złośliwość pod adresem ciotki, spojrziała na swoją towarzyszkę pytająco.

Zerwanówna nie pozostawiła jej w niepewności co do swoich słów, dodała bowiem w formie wyjaśnienia:

— Podczas takich odwiedzin szpitalnych często kojarzą się małżeństwa... Ciocia pani jest wdową, więc może...

Pomysł wydania ciotki zażam za Kazimierza wydał się Anielce tak niesłychanie zabawnym, że o mało co nie wybuchnęła śmiechem. Zapanowała jednak nad sobą i zdając sobie sprawę ze zjadliwej intencji, zawartej w słowach Zerwanówny, rzekła tonem dość surowym:

— Moja ciocia robi to, co uważa za stosowne, ani ja, ani nikt inny nie jest upoważniony do kontrolowania jej...

— Zapewne, tylko... — Zerwanówna chciała dodać jeszcze jakiś złośliwy komentarz, powstrzymała się jednak. Przyszła jej do głowy refleksja, że bądź co bądź z taką panią Wolską należy liczyć się trochę.

Anielka, zirytowana, że Zerwanówna paplaniem swoim maci przecudną pieśń szczęścia, która się rozśpiewała w jej duszy, przyspieszyła energicznie kroku. Panna Stefcia zaledwie nadążyć jej mogła.

— Czy wolno zapytać, dokąd pani tak spieszy?

— Do panien Staszynskich — odpowiedziała krótko Anielka.

— Do Staszynskich? Aha, podobno panna Anna zażam wychodzi?

— Rzeczywiście wychodzi.

— Tak, tak, słyszałam coś o tem... To ciekawa historia. Ludzie są tak złośliwi, zawsze coś mówić muszą... Opowiadają, ale ja temu nie wierzę, że oni znali się już dawniej, ona kochała się szalenie. Krzycki zerwał, a teraz, kiedy spotkali się w Pradze, zmusiła go, aby się ożenił... Zagroziła mu skandalem, więc musiał...

Anielka pobladła z oburzenia.

— Jak pani może powtarzać podobnie niegodziwe rzeczy!

— Mówiłam przecież, że ja temu nie wierzę, ale powszechnie tak opowiadają...

Anielka zapragnęła nagle zemścić się na Zerwanównie za wszystkie jej złośliwości i zapytała niespodziewanie:

— Może pani chciałaby dowiedzieć się, co słychać z panem Zarnickim? Wiem przecież, że pani bardzo się nim interesowała... Mogę pani udzielić wiadomości, bo Józia otrzymuje prawie codziennie listy od niego... Jest przydzielony do służby pozafrontowej i prawdopodobnie wkrótce, pomimo młodego wieku Józi, odbędzie się ślub.

Anielka wprowadziła skłamała trochę, bo o ślubie Zarnickiego z Józią nie było na razie wcale mowy, ale ogarnęła ją taka chęć dokuczenia Zerwanównie, że nie mogła powstrzymać się od tego niewinnego kłamstwa.

— Gratuluję — roześmiała się ostro i ironicznie Zerwanówna — dobrą będzie Zarnicki miał żonę, chyba policyanta przy niej postawi, któryby jej pilnował!... Zresztą i on nie lepszy... Ale pożegnaj panią, muszę wstąpić do sklepu, aby kupić dla mojego narzeczonego podarunek, który mu chcę posłać do pola...

Od pewnego czasu Zerwanówna opowiadała wszystkim znajomym, że ma narzeczonego na wojnie. Przygotowywała dla niego ciągle jakieś podarunki, haftowała batystowe chusteczki, dziergała szydełkami jedwabne szaliki, zaknpywała rozmaite najniepraktyczniejsze drobiazgi. Czy i komu posyłała te rzeczy, tego oczywiście nikt nie mógł stwierdzić...

— — — — —

Praga opróżniała się z polskich uchodźców. Przepelnione pociągi uwoziły codziennie tłumy stęsknione do kraju, do domu. Ci, którzy pozostali, przygotowywali się do odjazdu, mówili o nim, marzyli o nim.

W „kuchni polskiej“, wyjąwszy porę obiadową, nie było prawie nic do roboty. Panie, pełniące jeszcze popołudniowe dyżury, kiedy niekiedy tylko sięgały do imbryka z herbatą. Jedynie stary Gilewski przychodził stale na podwieczorkową herbatę i na gazety. Siadał w swoim ulubionym kącie pod oknem i smętnie rozglądał się po pustej sali.

Stowarzyszenia polskie kończyły swoją działalność.

Pan radca Spączka zamknął uroczyste swoje urzędowanie i ogłosił w dziennikach sprawozdanie, zredagowane bardzo niejasnym stylem, z którego wszakże wynikało jasno, że większą część dochodów „Komitetu“ pochłonęły wydatki administracyjne.

Z koła znajomych pani Wolskiej ubyło już wiele osób. Zebrania „pod Łabędziem“ odbywały się jeszcze czasem, ale nieliczne i nieożywione.

(Ciąg dalszy nastąpi)